

## **SOLIDARNOŚĆ – ŻYCIE Z SENSEM**

### **Wspomina Grzegorz Iwanicki, dziś sekretarz Zarządu Regionu Mazowsze**

W czasie sierpniowych strajków 1980 roku pracowałem jako mechanik samochodowy w MZK przy ul. Kleszczowej. Była to moja pierwsza praca. Tam zetknąłem się po raz pierwszy z „Solidarnością”.

Najbardziej zaangażowany był mój brygadzysta. Na warsztacie cały dzień włączone było radio nastawione na Wolną Europę. Był to już taki czas, że można było sobie na to pozwolić. Brygadzysta chodził po wydziałach z kartką i zapisywał do „Solidarności”. Zapisywali się wszyscy, jak leci, nawet partyjni, choć ich było już niewielu. Oczywiście ja również zapisałem się do NSZZ „Solidarność”. Był to czas niezwykły, wszyscy żyliśmy tym co dzieje się w Polsce, szczególnie na Wybrzeżu. Każdy z nas wiedział, że Polska przeżywa coś niesamowitego, niewiarygodnego.

Moi rodzice, szczególnie Tata byli antykomunistami, chyba jak wszyscy robotnicy – Tata był spawaczem, bardzo dobrym. W latach 70 gdy miałem 16,17 lat Tata bardzo krytykował komunistów i sowietów a ja przekornie stawałem w ich obronie. Często dochodziło do kłótni, mówiłem, że nie wszystko co czerwone jest złe, przecież w PRL mamy dobrych sportowców, technika jest na niezłym poziomie a kosmonauci ZSRR latają w kosmos. Takie różne głupoty wymyślałem chyba dlatego, że czytałem dużo książek i czasopism w których sączona była propaganda typu: na Zachodzie jest bezrobocie i nędza a u nas dobrobyt. Tata na koniec naszych dyskusji mówił tak: pójdziesz synu do pracy, założysz rodzinę i dopiero wtedy przekonasz się co znaczy komunizm – i miał rację.

Pomimo, że w 1980 roku zapisałem się do „Solidarności” na wydarzenia w kraju patrzyłem trochę z boku. Oczywiście byłem za ale jakoś bardziej „kibicowałem naszym” niż uczestniczyłem. Tata przynosił do domu różne gazetki, dostawałem je również w pracy, wszystkie czytałem ale do większego zaangażowania jeszcze nie dojrzałem.

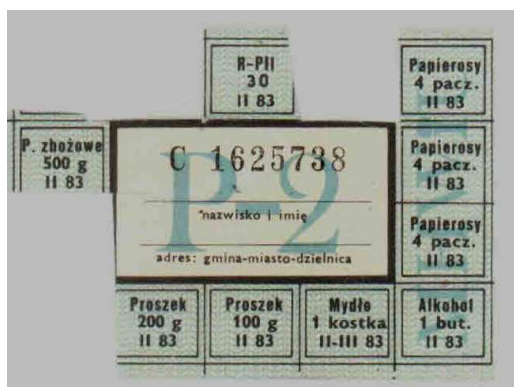
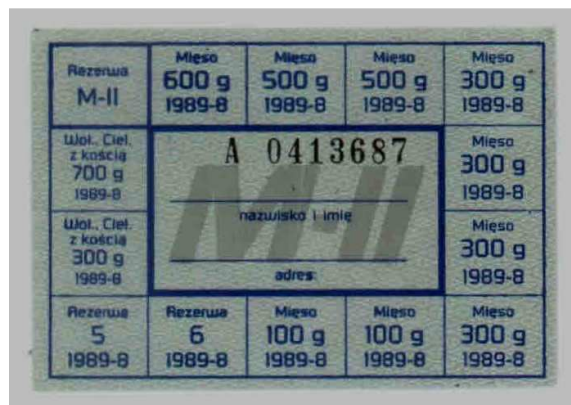
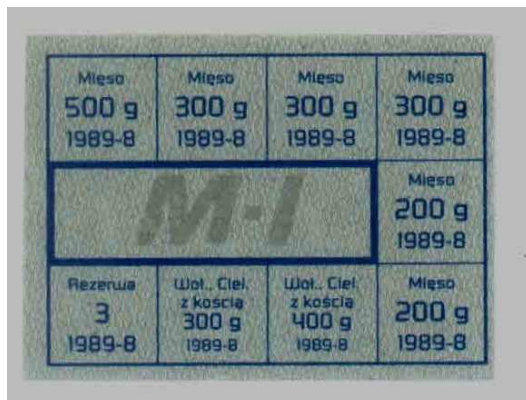
Ciekawa była forma zbierania składek związkowych. W dniu wypłaty przy kasie stał stolik na nim puszka obok siedziało trzech działaczy, do puszki wrzucaliśmy po 50 zł. Ta forma nie do końca mi się podobała ale pięćdziesiątka oczywiście rzucałem (zarabiałem wtedy ok. 3.000 zł)

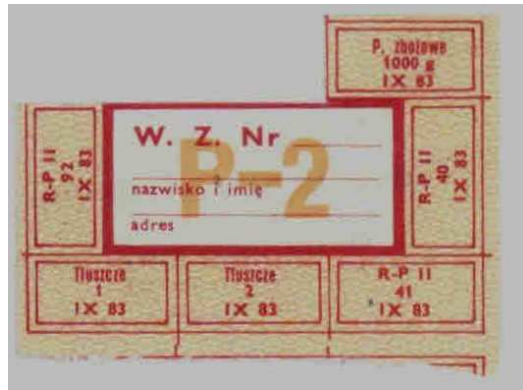
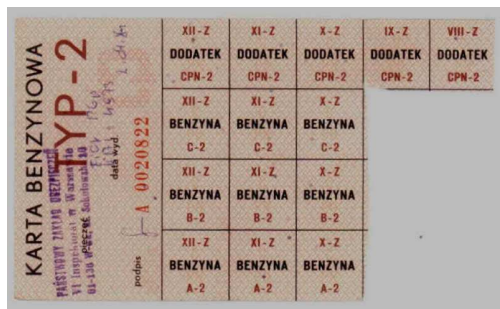
Następna praca to MPRO. Dyrekcja firmy znajdowała się przy ul. Przyokopowej (obecnie znajduje się tam Muzeum Powstania Warszawskiego), często wstępowałem do siedziby zakładowej „Solidarności”, interesowałem się jej działalnością, emocjonalnie byłem już bardziej zaangażowany. Śledziłem strajk i pacyfikację Wyższej Szkoły Pożarniczej, blokadę autobusową ronda Marszałkowska-Al. Jerozolimskie, pobicie Jana Rulewskiego w Bydgoszczy. Gdy telewizja zaczęła rozdmuchiwać tzw. aferę w Radomiu, pomyślałem, że konfrontacja z komunistami jest nieunikniona. Z radomskiego posiedzenia „Solidarności” trwającego 13 godzin partyjna telewizja pokazywała non stop jeden wyrwany z całości fragment wypowiedzi Wałęsy, w którym Lech mówił o targaniu się za szczęki. Partia była oburzona, we wszystkich dziennikach szła wiadomość, że Wałęsa dąży do konfrontacji. Była to bzdura, to Jaruzelskiemu był potrzebny pretekst aby wprowadzić stan wojenny. Wydarzenia te uzmysłowiły mi o jak wielką stawkę idzie gra i z jak ogromną siłą militarną i propagandową komuny przyjdzie nam się zmierzyć, byłem pewien, że w najbliższych dniach stanie się coś niezwykłego.

W niedzielę 13.12.1981 r. spałem długo, jak zwykle w niedzielę. Gdy się obudziłem w domu już wrzało. Po raz pierwszy usłyszałem słowa stan wojenny-od swoich rodziców, którzy już oglądali telewizję. W telewizji Jaruzelski, groza bijąca z ekranu, spikerzy w mundurach czytający odezwy reżimu wojskowego, smutne melodie. Szybko się ubrałem i wyszedłem z domu, na ulicach było pusto, ani wojska, ani cywilów. Poszedłem do kolegi, Sławek poddał myśl aby jechać do siedziby Regionu Mazowsze na Mokotowską. Tam był już tłum ludzi, wszyscy rozgorączkowani, podnieceni. Do środka nie weszliśmy gdyż służba porządkowa nikogo nie wpuszczała. Przez uchylone drzwi podawano ulotki wzywające do strajku powszechnego od poniedziałku. Było kilka kamer telewizji zachodnich, dziennikarze na okrągło kręcili wywiady z napływającymi pod Region ludźmi. Ktoś przemawiał, wymieniał nazwiska zatrzymanych, nawoływał do powstania narodowego. Jakaś nieznajoma dziewczyna wpięła mi w kurtkę znaczek Solidarności, moment ten nagrywała kamera RFNowskiej telewizji, ktoś robił zdjęcia. Miałem wrażenie, że uczestniczę w czymś niezwykłym

Tak jak gdybym grał rolę w jakimś sensacyjnym filmie. Z gmachu Regionu ludzie wynosili jakieś maszyny, ładowali do prywatnych samochodów i odjeżdżali. Wszystko to ciągle nie sprawiało wrażenia jakiegoś pełnego grozy stanu wojennego. Myślałem sobie, że jeśli to jest wszystko na co stać komunistów to będzie dobrze. ZOMO ani wojska ciągle nie było widać, ale do czasu. W pewnym momencie na pl. Zbawiciela oraz od strony Pięknej zrobiło się niebiesko-szaro, sikawki, tarcze, pały, kaski z maskami. Przez megafon zaczęły padać złowrogie ostrzeżenia pod naszym adresem: „w imieniu władzy ludowej wzywam do rozejścia się, liczę do dziesięciu!”. Gdy naprawdę zaczął odliczać rozległ się straszliwy gwizd. Gwizdali wszyscy nawet ci, którzy robili to po raz pierwszy. Gdy odliczył do dziesięciu wydał rozkaz do ataku. Zomowcy ruszyli na nas zwartym szeregiem, przez megafon imitowali wybuchy petard, pałami walili w tarcze na wąskiej ulicy Mokotowskiej tworzyło to niesamowite wrażenie. Już od paru minut ciarki chodziły mi po grzbiecie, a teraz dodatkowo nogi ugiwały się ze strachu. Wtedy nastąpił piękny gest ludzi starszych, nam młodym kazali się cofnąć do tyłu a sami stanęli na czele, przeważnie starsze kobiety. Chwyciły się za ręce i zaczęły śpiewać Mazurka Dąbrowskiego. Rozpędzeni zomowcy zatrzymali się ale pały trzymali gotowe do bicia. Każdy z nas, ile miał sił w płucach śpiewał, czy może raczej krzyczał hymn, który słychać było chyba na całym Śródmieściu. Dowódca zomowców przez megafon krzyczał: naprzód ! ale oni stali zdezorientowani, widać było, że staruszek bić nie chcieli. Do akcji wkroczyła armatka wodna, silnym strumieniem zabarwionej wody walnęła w tłum, rozerwała szyki, część ludzi przewróciła, reszta rzuciła się do ucieczki. Na to tylko czekali zomowcy, rozpoczęło się pałowanie, hymn zastąpiły wrzaski bitych i polewanych na mrozie wodą oraz jeden wielki, donośny krzyk: gestapo !, gestapo ! Z tysięcy gardeł. Tak to mogło kojarzyć się z wojną i gestapowcami. Z plikiem ulotek ukrytych pod kurtką starałem się wydostać z tego kotła ul. Mokotowskiej. Choć wokół było pełno zomowców udało mi się jakoś uniknąć razów. Na placu Zbawiciela zdołałem wskoczyć do stojącego na przystanku tramwaju, stamtąd zomowcy nie wyciągali, widać mieli dość na ulicach. Wielu uciekających skryła się w kościele Zbawiciela, tam ludzie czuli się bezpiecznie. Gdy tramwaj ruszył ci którzy

nie zdążyli do niego wskoczyć i pozostali na ulicy byli skazani na nierówną walkę z oprawcami z ZOMO, którzy opanowali już cały ten rejon. Gdy tramwaj przejechał kilka przystanków, poczuliśmy się bezpiecznie i zaczęliśmy rozdawać ulotki, nie wszyscy mieli odwagę brać je do ręki, widać było, że strach wraca, po 16 miesiącach wolności wracał stary porządek. Znowu ludzie mieli się bać do siebie odzywać, a jeśli już to mówić tylko jakieś powtarzane frazesy. Przyjechaliśmy do siebie na Ochotę i zaczęliśmy roznosić ulotki po klatkach schodowych. Wkładaliśmy je w drzwi, wieszaliśmy na tablicach informacyjnych. Dziwne, że nas wtedy nie zgarnęli, nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że za takie coś można było posiedzieć. Część ulotek zaniósłem do domu, rodzice ucieszyli się, że będą mogli wziąć je w poniedziałek do pracy. Do późnej nocy rozmawialiśmy o dzisiejszej sytuacji i o tym co nas czeka jutro. Oczywiście próbowaliśmy łapać fale radia Wolna Europa i Głosu Ameryki ale były one skutecznie zagłuszane. Liczyliśmy na to, że od poniedziałku rozpoczną się strajki i oczywiście byliśmy zdecydowani wziąć w nich udział.





W poniedziałek rano ze znaczkiem Solidarności w klapie kurtki jechałem do pracy. Ludzie wokół byli bardzo wystraszeni, wpatrzeni w okna autobusu obserwowali ciemne ulice pełne wojskowych patroli zgromadzonych przy koksownikach. Zastanawiałem się czy będziemy strajkować. Na Rakowieckiej wysiadłem z autobusu i szedłem do zakładu przy którym stał koksownik a przy nim kilku żołnierzy. Musiałem przejść obok nich, byłem ciekawy czy mnie zaczepią ale minąłem ich bez problemu. Gdy wszedłem do biura, na widok znaczka „S” na mojej kurtce wszyscy złapali się za głowy. Jak to nie zatrzymali cię ? Lepiej to zdejmij bo będziesz miał nieprzyjemności ! O strajku ludzie nie chcieli nawet rozmawiać, bali się strasznie. Wieczorem z zapartym tchem słuchaliśmy Głosu Ameryki gdyż Wolna Europa była skutecznie zagłuszana. Czy będą strajki ? Były ale zomo skutecznie je pacyfikowało, byli bezwzględni, czołgami rozwalali bramy, wkraczali do fabryk, strajkującym robotnikom robili ścieżki zdrowia a przywódców zabierali do więzień. Byłem zdziwiony i rozczarowany spodziewałem się powstania narodowego a tymczasem społeczeństwo było raczej bierne i wystraszone. Czołgi na ulicach zrobiły swoje.

17 grudnia trochę przypadkowo znalazłem się na Krakowskim Przedmieściu. Pojechałem po płytę do sklepu Tonpresu na Nowym Świecie a później poszedłem na Starówkę, pod Kościołem Św. Krzyża trafiłem na tłum wychodzących z kościoła ludzi kierujących się na Pl. Zwycięstwa. Przyłączyłem się, jednak daleko nie doszliśmy. Drogę zagroziło nam zomo, było ich dużo. Zaczęliśmy śpiewać Mazurka Dąbrowskiego i Boże coś Polskę . Dowódca zomowców przez szczekaczkę dał nam dziesięć sekund na rozejście się, rozległy się gwizdy,

wtedy zomowiec stwierdził: w imieniu PRL, na mocy dekretu o stanie wojennym używam siły a zomowcom wydał rozkaz: ognia ! Rozległa się salwa karabinowa. Na wąskiej ulicy Krakowskiego Przedmieścia, w mroźny grudniowy wieczór efekt był niezwykle groźny. Ludzie rzucili się do panicznej ucieczki, wszystko wskazywało na to, że strzelają ostrymi nabojami. Przypomniałem sobie wojenne filmy i tak jak tam uciekałem zygzakiem. Strzały padały nadal, wokół przewracali się ludzie, gubili torebki, czapki nawet buty. Na ulicy leżał ubity śnieg, było bardzo ślisko, kobiety piszczały, ludzie w panice tratowali się. Byłem przekonany, że strzały są z ostrej amunicji, gdy skryłem się za najbliższym domem, odetchnąłem z ulgą. Nie trafili mnie ! Biegący ludzie krzyczeli: gestapo, mordercy, strzelają do Polaków ! Ktoś powiedział, że strzelają z gumowych kul, po nogach. Trafienie w mięsień unieruchamiało człowieka dlatego tak wielu ludzi padało na ziemię. Pod kościołem Św. Krzyża pozostało wiele torebek, czapek, butów i innych części garderoby zgubionych przez uciekających w panice demonstrantów. Tych którzy upadli zomowcy ciągnęli do „bud”. Po szczęśliwym powrocie do domu dowiedziałem się, że w kopalni „Wujek” zginęło dziewięciu górników, zostali zabici broniąc swojego zakładu przed zomowcami. Teraz nie było już wątpliwości, komuniści są bandytami.





Pierwsza gazetka podziemna, która wpadła mi w ręce była czymś wielkim i wzruszającym.

Był to namacalny dowód na to, że są ludzie, którzy się nie dali komunistom. Istnieje

podziemie, tak ja w czasie II wojny światowej, to bardzo podniosło mnie na duchu. Z każdej znalezionej lub otrzymanej ulotki czy gazetki cieszyłem się jak dziecko, potwierdziło się, że jesteśmy narodem który łatwo się nie poddaje.



W zakładzie pracy ujawniły się duże podziały, większość pracowników bała się mówić na pewne tematy, szerzyło się donosicielstwo, trzeba było uważać z kim i o czym się mówi. Jednak ci odważni „zwąchawali się” szybko, rozprawialiśmy zdjęcia, książki, bibułę i znaczki. Za takie działania groziło wyrzucenie z pracy a nawet internowanie. Od czasu do czasu na tablicy ogłoszeniowej wieszaliśmy ulotki, najczęściej karykatury „ślepego” lub „wrony”. Ślepy to Jaruzelski, wrona to wojskowa rada ocalenia narodowego jeszcze inaczej hunta wojskowa. Ulotki długo nie wisały, po jakimś czasie dzwonił z Centrali sam Dyrektor i kazał kierownicze zakładu je zdejmować. Ktoś musiał donosić ale jak dotąd nie wiem kto mógł to być. W czasie rządów PZPR a szczególnie w tym okresie stanu wojennego kadra zarządzająca zakładami mniej zajmowała się produkcją a bardziej czystością ideologiczną. Mieli czuwać i pilnować żeby pracownicy nie knuli przeciw komunie. Była również tzw. komórka kontroli wewnętrznej, dwaj panowie na których wystarczyło spojrzeć, żeby wiedzieć skąd są. Jednego z nich nazywaliśmy belfegorem. W firmie był również komisarz, który wspólnie z tzw. podstawową organizacją partyjną robił przeszukiwanie w poszczególnych zakładach szatni w tym szafek osobistych pracowników. Wszystko to



odbywało się po godzinach pracy. W ten sposób złapali jedną z osób działających w ZPR 2 przy ul. Raclawickiej, była wielka afery ale pracy osoba ta nie straciła. Tłumaczyła, że ktoś jej te ulotki podrzucił co było nawet bardzo możliwe. Partia czuwała a my robiliśmy swoje przeprowadzaliśmy składki na internowanych i zanosiliśmy do kościoła, wtedy za to również groziły sankcje. W tym okresie byłem na pierwszym konspiracyjnym zebraniu w kawiarni Telimena na Krakowskim Przedmieściu, było to przed 1 maja 1982 roku.

1 maja był dla władz PRL sprawdzianem. W zakładach namawiano lub szantażem zmuszano do pójścia na oficjalny pochód, oczywiście popierający partię. Tak było również u nas. Kierowniczką prosiła o pójście chociaż kilka osób na pochód. Jako bezpartyjna była szczególnie obserwowana przez Dyрекcję. Zgodził się pójść podpadziocha za picie alkoholu w ten sposób spłacał dług za nie wyrzucenie z pracy.

My 1 maja 1982 roku spotkaliśmy się na Mszy Św. w Katedrze Św. Jana. Po mszy gdy nad tłumem pojawiły się transparenty Solidarności miałem szklane oczy, wszyscy cieszyli się jak dzieci. Pochód bez problemów ruszył w kierunku Rynku Nowego Miasta. Tłumy były nieprzebrane, jakieś 50 tysięcy. Z budynków ściągaliśmy i deptaliśmy czerwone flagi a na biało czerwonych kobiety szminkami malowały napis Solidarność. Idąc skandowaliśmy hasła: uwolnić Lecha wsadzić Wojciecha !, wrona skona a orła nie pokona !, Solidarność żyje !, Lech Wałęsa !, Zbyszek Bujak ! itp. Atmosfera była niezwykła, to było prawdziwe święto, ze wzruszenia po plecach cały czas chodziły ciarki. Największe zdziwienie wzbudzała milicja, która była nastawiona pokojowo. Blokowali tylko uliczki Starego Miasta tak abyśmy nie dotarli do oficjalnego pochodu, który z Jaruzelskim na czele defilował na Śródmieściu. Udało im się skierować nas nad Wisłę, tam dopiero okazało się jak wielki jest tłum. Ok. 100 tys. wysłuchało przemówień. Jako trybuna postąpił stojący na Podwalu barakowóz. Przemawiający zaprosili wszystkich na obchody uchwalenia Konstytucji 3 Maja na godz. 18.00 do Katedry Św. Jana. Wiec zakończył się w nastroju wielkiego święta. Ludzie robili zdjęcia sobie, milicjantom, transparentom. Były baloniki, chorągiewki i kwiaty. Zomowcy

tego święta nie zakłócili. Rodziło to nadzieje na przyszłość, że komuniści będą jednak dążyli do jakiegoś porozumienia, że może nastąpi jakaś liberalizacja. Później okazało się, że ten dzień, taki 1 maja był wyjątkowy, głównie właśnie ze względu na pokojowe nastawienie zomowców. Było ich mało, a ci którzy zastawiali nam trasę nie wykazywali najmniejszej chęci do pałowania, widocznie takie mieli rozkazy. Później z czymś takim spotkałem się dopiero w 1989 r. Już 3 maja miało okazać się, że sytuacja z 1 maja długo się nie powtórzy. To pierwszomajowe święto w 1982 r. na Starówce było autentycznym świętem ludzi pracy. Ponieważ rodzice również byli na pochodzie Solidarności po powrocie do domu dyskusjom nie było końca. Kto w której części pochodu szedł, co słyszał, co widział. Cały ten dzień do końca upłynął w atmosferze autentycznego święta i nadziei.

Następnego dnia w pracy również były dyskusje o tym wydarzeniu, jednak już w innej atmosferze. Z pośród pracowników niewielu było na naszym pochodzie, wielu o nim w ogóle nie słyszało a część była na pochodzie komunistycznym. Kierowniczką z obowiązku i jeszcze jedna osoba. Entuzjastyczny nastrój osób, które były na pochodzie Solidarności nie udzielał się pozostałym pracownikom, większość jak zwykle kwitowała te wydarzenia wzruszeniem ramion i standardowym pytaniem: a co to da ? Przez następne lata słowa te towarzyszyły mi codziennie. Na każdą propozycję działania przeciw złu, kłamstwu i obłudzie czyli przeciw komunie, od tzw. milczącej większości dostawałem odpowiedzi: a co to da ?, to i tak nic nie da, i tak zrobią co będą chcieli.

Na trzeciomajową manifestację zapraszałem wszystkich z którymi się spotykałem.

W tym dniu w kilku umówiliśmy się u jednego z kolegów. Przynieśliśmy biało czerwone flagi na, których szminką pożyczoną od mamy kolegi wykonaliśmy napisy: SOLIDARNOŚĆ ŻYJE ! Zwinęliśmy flagi i taksówka pojechaliśmy na Starówkę. Taksówka dowiozła nas do Kościoła Seminaryjnego na Krakowskim Przedmieściu, dalej nie dało się jechać, na ulicy stał tłum ludzi. Choć do Mszy Św. o 18.00 było jeszcze sporo czasu do Katedry nie można było dojść. Przy kościele Św. Anny stał kordon ZOMO. Cały Pl. Zamkowy był zamknięty. Na Starówce rozlegały się strzały i wybuchy petard. Pomimo stojących zomowców podeszliśmy bliżej Zamku Królewskiego, atmosfera była bardzo napięta, razem ze wszystkimi zaczęliśmy skandować z całych sił: Solidarność ! Solidarność ! Zomowcy zareagowali szybko, z agresją ruszyli na nas, zaczęli strzelać petardami z gazem łzawiącym, byli w pełnym rynsztunku: hełmy, maski, tarcze. Pały. Widać było, że są przygotowani na wielką wojnę. Petardy padające pod nogi łapaliśmy w dłonie i odrzucaliśmy w kierunku zomowców. Niedaleko mnie kilku zomowców dopadło zachodniego reportera, uderzony kilkakrotnie pałką upadł, wyrwali mu kamerę i rzucili ją o ziemię, podnieśli go z ziemi i zaciągnęli do budy (milicyjny Star) za nim wrzucili tam resztki kamery. Na całym Pl. Zamkowym zrobiło się potworne zamieszanie, wrzaski bitych, strzały, wybuchy petard z gazem łzawiącym. Nie wiem kiedy znalazłem się pod Barbakanem, uciekałem w kilkusobowej grupie demonstrantów. Krzyczeliśmy: gestapo

i uciekaliśmy uchylając się przed strzałami, czułem oddech zomowców na swoich plecach. Biegliśmy w kierunku Pl. Teatralnego, pod drodze przyłączali się kolejni ludzie. Ruszyliśmy na Śródmieście. Z Pl. Teatralnego wychodziła już grupa kilku tysięcy demonstrantów. Zomowcy za nami nie poszli, widocznie było ich za mało i całe siły koncentrowali na Starówce. Poczuliśmy się pewniej, znalazły się jakieś transparenty, rozwinęliśmy je, wzięliśmy się pod rękę i szliśmy w kierunku Marszałkowskiej. Szedłem na czele, obok mnie szły dwie młode uśmiechnięte dziewczyny. Wszyscy byliśmy bardzo radośni i pełni uniesienia. Na Marszałkowską weszliśmy w okolicy domu kultury radzieckiej, niektórzy chwycili za kamienie, ten szklany gmach o takiej nazwie był w tym momencie znakomitym celem. Jednak zwyciężył rozsądek większości, nam chodziło o coś więcej niż bezmyślne niszczenie czegokolwiek, prosiliśmy o rozwagę i to poskutkowało, żadna szyba nie poleciała. Przeszliśmy obok tego ponurego gmachu gwoźdząc i skandując: wszystkie wrony na plac czerwony! Ciągłe przyłączali się nowi ludzie, było nas już kilkanaście tysięcy gdy przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską nastąpił atak setki zomowców przy wsparciu suk i bud. Uciekaliśmy Świętokrzyską w kierunku Emilii Plater. Tam znowu uformowaliśmy kilkutysięczny pochód i ruszyliśmy w kierunku Dworca Centralnego. Z wysokiego masztu przy dworcu ściągnęliśmy czerwoną flagę a w górę powędrowała flaga Solidarności. Odśpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, łzy cisnęły się do oczu, byliśmy niezwykle szczęśliwi. Na murek wdrapywali się kolejni mówcy, padały różne propozycje, ja proponowałem pójście pochodem na Ochotę. Większość była jednak za tym aby ruszyć na KC. To musiało skończyć się tragicznie. Przy skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich z Marszałkowską zaatakowali nas z czterech stron. Gazy łzawiące, armatki wodne, petardy ogłuszające, rozbili nas, każdy uciekał na własną rękę. Biegiem wycofywałem się w kierunku Dworca Centralnego, wraz z innymi wpadłem do środka, nie wszystkim się udało, wielu padło od pałek i strumieni wody. Do gmachu dworca zomowcy nie odważyli się wejść, ostrzeliwali nas petardami z gazem łzawiącym. Kilka petard wpadło do środka przez wybite szyby, trzeba było się ewakuować. W przejściach podziemnych też był gaz, trzeba było szybko wybiegać na powierzchnię. Miałem

już dość, w oddali słychać było wybuchy petard a ja wracałem do domu. Szedłem w kierunku Pl. Zawiszy, gdy zniemacka nadjechały milicyjne suki (nysy), z samochodów wyskoczyli zomowcy i zaczęli wyłapywać pojedynczych ludzi, powstała panika, uciekać nie było gdzie, jedyne co pozostało to skakać z nasypu w dół, prosto na tory kolejowe przy stacji W-wa Ochota. Zomowcy z góry ostrzeliwali nas gazami. Dostało się również przypadkowym podróżnym czekającym na pociąg. Wszyscy musieli uciekać z peronów. Miałem kompletnie dość, wyczerpany wskoczyłem do nadjeżdżającego autobusu 157 i wracałem do domu. W autobusie podniecenie, część pasażerów opowiadała o wydarzeniach na mieście ale niektórzy wyglądali na zupełnie obojętnych, po prostu zwykli ludzie wracający z pracy. Chciało mi się krzyczeć: ludzie nie bądźcie tacy obojętni, przecież Warszawa walczy, młodzież i starsi biją się o naszą wolność i godność a wy udajecie, że nic się nie dzieje. Miałem poczucie, że nie wszyscy myślą tak jak ja, nie rozumiałem tego i podświadomie czułem do nich niechęć. Dla mnie wszystko było jasne, prawdziwi Polacy to ci, którzy walczą z komunizmem, tu i teraz, na ulicach, w podziemiu, w zakładach pracy. To ci, którzy modlą się, śpiewając w kościołach „Boże coś Polskę” podnoszą dwa palce do góry w znaku Viktorii, tak wtedy myślałem.

Gdy dotarłem do domu całą rodziną słuchaliśmy Głosu Ameryki, cieszyliśmy się, że w innych miastach też były manifestacje. Niestety znowu zginęli ludzie.

W dwa lata po tej trzociomajowej manifestacji w 1984 roku obchodziliśmy pierwszą rocznicę śmierci Grzesia Przemyska zamordowanego przez milicjantów na komendzie przy Jezuickiej.

Po Mszy Św. w kościele Św. Stanisława Kostki przemaszerowaliśmy na Powązki aby zgromadzić się przy grobie Grzesia, był z nami Ksiądz Jerzy Popiełuszko, który miał zginąć za

niecały rok zamordowany przez oprawców z tego samego resortu MSW. Po zakończeniu

uroczystości podeszły do mnie dwie pracownice cmentarza, które zaprowadziły mnie na jeszcze inny grób. Widząc, że mam aparat fotograficzny chciały abym to miejsce utrwalił.

Zrobiłem zdjęcie płyty nagrobnej na której było napisane; ŚP Joanna Małgorzata Lenartowicz, żyła lat 19, zm. tragicznie w Maju 1982 R.



Po trzeciomajowych manifestacjach 1982 r. w zakładzie pracy były gorące dyskusje, głosy były różne, ale większość reagowała jak zwykle: co to da ? Ludzie wierzyli komunistycznej propagandzie, która trąbiła, że na ulice wyszły wyrostki i chuligani z chęcią wyżycia się. W telewizji non stop pokazywali młodych ludzi rzucających kamieniami, wznoszących barykady. Tłumaczyłem, że jest to nieprawda, że demonstranci byli w różnym wieku, że kamieniami rzucali broniąc się przed szarżami uzbrojonych, dzikich zomowców na doping. Ludzie dla świętego spokoju kiwali głowami ze zrozumieniem ale nie wyglądali na przekonanych do końca. Ciągła, nachalna propaganda telewizyjna, radiowa i gazetowa robiła swoje.

Osobiście po dwóch majowych manifestacjach uczucia miałem mieszane, z jednej strony pozytywne było to jak wielu ludzi w całej Polsce wyszło na ulice i to, że zomo momentami traciło kontrolę nad sytuacją, smuciło jednak to, że nic konkretnego to nie dało poza tym, że Zachód miał o czym pisać i mówić, że był to sukces propagandowy gdyż pokazaliśmy, że Solidarność istnieje, nie poddała się i ma nadal ogromne poparcie. W czasie tych manifestacji nie było widać a może wcale nie było organizatorów, wszystko było puszczane na żywioł, nikt tym nie kierował a może przy lepszej organizacji efekty tych naszych bojów byłyby większe. Rozmiarami manifestacji wydawali się być zaskoczeni sami liderzy podziemnej Solidarności i w związku z tym nie potrafili tej sytuacji odpowiednio wykorzystać. Później powtarzało się to wiele razy.

W zakładzie pracy sieć kolportażu powoli się rozrastała. Bibułę przynosiły różne osoby i rozdawały innym, były również zdjęcia, książki i znaczki. Skrzynkę kontaktową mieliśmy w Centrali w dziale produkcji roślin. Ludzie zainteresowani bibułą wręcz się na nią rzucali, z rozprowadzaniem coraz większych ilości nie było żadnych problemów. Martwiło tylko to, że krąg odbiorców nie powiększał się zdecydowanie, w większości byli to ciągle ci sami ludzie. Wciągnięcie kogoś nowego było bardzo trudne ale nieraz się udawało. Niestety było i tak, że ludzie się zmieniali na gorsze, okazywało się, że wielu zapisywało się do Solidarności bo tak robiła większość. W momencie gdy do zakładów pracy weszło wojsko i milicja a Solidarność musiała zejść do podziemia ci niepewni szybko się od nas odcięli. Za radiem, telewizją i gazetami powtarzali głupoty o ekstremie solidarności, wywrotowcach, anarchistach, Żydach itp. Nie było nas już 10 mln ale ci, którzy zostali byli w większości naprawdę twardzi. Zdarzało się i tak, że ktoś nie należał do Solidarności a teraz przejrzał na oczy i przynajmniej nas wspierał, czytał bibułę, dawał składki na internowanych. Składki były dobrowolne, średnio 100 zł. od osoby miesięcznie. Z czasem sieć kolportażu rozrastała się. Wszyscy płacący dostawali bibułę. Najczęściej były to: Tygodnik Mazowsze, Wola, CDN, Głos Wolnego Ursusa. Dużym wzięciem cieszył się też miesięcznik lub kwartalnik „Niepodległość”. Bibułę otrzymywaliśmy różnymi kanałami krąg ten powiększał się coraz bardziej. O nowe kontakty było trudno gdyż w okresie karnawału Solidarności nie prowadziłem aktywnej działalności. Bardzo liczyliśmy na naszego przewodniczącego, który był internowany tak jak i jego zastępca. Po wyjściu z internatu okazało się, że stracił ochotę do pracy związkowej. Nie mogłem tego zrozumieć, takie znajomości, siedział z Lityńskim i innymi znanymi działaczami, mógł zrobić wiele dobrego ale był całkowicie wypalony. Dopiero później po latach dowiedziałem się, że aby wcześniej wyjść z internowania podpisał lojalkę. Miał bardzo chore dziecko i trudno go za to potępiać, poza tym zachowywał się bardzo przyzwoicie, był często wzywany na Okrzei ale nigdy nic im nie powiedział o naszej zakładowej działalności, mówił za to nam różne szczegóły o tych przesłuchaniach w SB, choć za każdym razem podpisywał oświadczenie, że o rozmowach nikogo nie będzie informował.

Strajku w naszym zakładzie nawet nie próbowaliśmy robić, nie było z kim. Przeważającą grupą pracowników byli tzw. chłopo-robotnicy. Mieszkańcy wsi dysponujący niewielkimi gospodarstwami rolnymi i dorabiający w Warszawie. Ludzie ci pracowali jakby na dwóch etatach i praca w Warszawie była dodatkową. W odróżnieniu od pozostałych pracowników chłopo-robotnicy godzili się na gorsze warunki pracy i mniejsze wynagrodzenia gdyż nie było to dla nich podstawowe źródło utrzymania rodziny. To była dziwna grupa społeczna spotykana chyba tylko w komunizmie. Większość czasu spędzali w podróży z domu do pracy i z powrotem.

Ciekawym pomysłem była propozycja aby zamiast zakazanych znaczków Solidarności nosić w klapie oporniki wyjęte ze starych odbiorników radiowych. Nie pamiętam czy pomysł narodził się spontanicznie czy wyszedł od liderów podziemia. Oporniki wyjąłem ze starego radia, tyle że mogłem podzielić się z innymi. Za noszenie znaczka Solidarności groziło kolegium a za opornik nic choć wszyscy wiedzieli o co chodzi nawet tajniacy. Niewiele jednak mogli zrobić gdyż nawet komunistyczny sąd wojskowy za noszenie opornika nie był w stanie skazać człowieka. Niestety niewielu odważyło się nawet na taki prosty sposób zmanifestowania swojego oporu wobec reżimu. Ale jak już spotkało się kogoś z opornikiem to satysfakcja była ogromna a osoby takie czuły od razu do siebie sympatię. Nosilem opornik przez kilka miesięcy, do czasu gdy przestałem widywać go u innych osób. Później nosiło się inne symbole ale nie miały one już takiego wydźwięku jak te pierwsze oporniki radiowe. Na początku stanu wojennego po stłumieniu przez komunistów strajków władze podziemnej Solidarności wydały apel o stosowanie biernego oporu, mieliśmy chodzić do pracy ale jak najmniej robić tzw. strajk włoski. Symbolem tej akcji był żółw. Rozdałem i rozrzuciłem wiele takich ulotek z żółwiem. Tu akurat Polacy byli zgodni, nikt nie pracował porządnie a kradzieży w zakładach było jeszcze więcej. Za komuny z dyscypliną i motywacją do pracy było źle ale stan wojenny doprowadził do jeszcze większego rozprężenia. Potwierdziło się przysłowie, że z niewolnika nie ma pracownika. Dla kierownictw zakładów pracy najważniejsze było to aby



w miejscu pracy nie było ulotek, strajków, akcji protestacyjnych, podziemnej działalności Solidarności, z tego byli rozliczani przez przełożonych. Sama produkcja liczyła się już mniej a skutki takiej polityki odczuwaliśmy przez wiele lat. Stan wojenny i okres późniejszy nauczyły ludzi, że nie opłaca się dobrze pracować bo nie płacą za pracę ale za tzw. obywatelską postawę, donosicielstwo czy układy. To głównie w tym okresie kwitły fuchy, wynoszenie z fabryk praktycznie wszystkiego co przyda się w domu lub można spieniężyć. Ludzie mówili tak: przecież to wszystko nasze. Można powiedzieć, że w 1982 roku akcja „żółwia praca” spotkała się z dużym odzewem a nawet trwała jeszcze za tzw. rządów solidarnościowych czyli po 1989 roku.

Krzyż kwietny. Na pl. Zwycięstwa (obecnie Piłsudskiego), w miejscu w którym w 1979 roku odprawił Mszę Św. dla Polaków Ojciec Święty Jan Paweł II w czasie swojej pierwszej wizyty do Ojczyzny jako Papież Warszawiacy zaczęli układać kwiaty w kształcie krzyża. Najpierw były to głównie gałązki choinek a później kwiaty, było ich coraz więcej. Przy krzyżu codziennie zbierali się ludzie aby porozmawiać, zaśpiewać pieśni religijne i patriotyczne, zapalić świeczkę, przynosili ulotki i gazetki, które kładli przy krzyżu tak aby wszyscy mogli je przeczytać.

Ja również zacząłem tam przychodzić, atmosfera była wspaniała, palce wzniesione w geście zwycięstwa, Rota, Hymn Polski, Boże coś Polskę. Niezwykłe były zakazane piosenki z II wojny światowej dopasowane słowami do aktualnych okupantów. To był codzienny repertuar tych kilkunastu, kilkudziesięciu a nieraz kilkuset zebranych pod krzyżem. Oczywiście komunistom było to nie na rękę, tym bardziej, że z pod krzyża często przekazywali do swoich krajów zachodni dziennikarze. Był to widomy znak na to, że Polacy nie poddali się reżimowi. ZOMO oczywiście nie odpuszczało, często atakowali w ciągu dnia, rozpędzali zebranych, legitymowali, niektórych zatrzymywali, później mścili się na kwiatach deptając je. Każdej nocy gdy przy krzyżu nie było już nikogo na plac w eskorcie zomowców podjeżdżały samochody MPO i kwiaty były zabierane. Przez kilka godzin krzyża nie było ale już z samego rana

pojawiały się nowe kwiaty. Choć były drogie ludzie nie żałowali na nie pieniędzy, krzyż rósł na nowo. Rano pojawiała się cieniutka niteczka kwiatów a wieczorem na placu leżał kilkunastometrowy krzyż kwietny a przy nim stał tłum ludzi.

Pewnego razu za krzyż oberwałem. Z kolegą Sławkiem, wtedy punkowcem szedłem na Starówkę, gdy przechodziliśmy w pobliżu pl. Zwycięstwa zaproponowałem aby podejść do krzyża kwietnego. Gdy weszliśmy na plac wokół było pełno milicji, budy, suki a przy krzyżu jakoś mało ludzi. Przy krzyżu klęczał mężczyzna w średnim wieku z małym dzieckiem, modlił się. Podeszliśmy i uklękliśmy obok. Żeby się pomodlić a jednocześnie zmanifestować swój sprzeciw wobec zła, tępej głupoty tych w mundurach, którzy otaczają krzyż aby nie dopuszczać do niego ludzi a jeszcze bardziej przeciwko postępowaniu tych którzy ich tu przysłali. Oni w swojej głupocie myśleli, że w ten sposób są w stanie stłumić w sercach ludzkich naturalne dążenie do dobra, prawdy, sprawiedliwości -do Chrystusa.

Przy krzyżu uklękliśmy również dlatego aby solidaryzować się z tym samotnie klęczącym mężczyzną z małym dzieckiem.

Zdążyliśmy się tylko przeżegnać, dwóch zbirów złapało mnie pod ręce i podniosło do góry. Stałem na nogi, szarpnęli mnie w kierunku bud milicyjnych, trzeci milicjant szedł za moimi plecami. W ten sam sposób zgarnęli mojego kolegę i nieznanego mężczyznę, dziecko szło obok i strasznie płakało. Powłóczyłem nogami ale szedłem gdyż nie było sensu stawiać większego oporu, wokół było niebiesko. Zomowcy prowadzili mnie w milczeniu, próbowałem dowiedzieć się dlaczego, jakim prawem mnie zatrzymują ale żadnej odpowiedzi nie było.

Dopiero gdy wciągnęli nas do Stara okazało się, że mówić potrafia, i to jak. W środku było ich około dwudziestu, siedzieli na ławkach pod bocznymi ścianami, pod ławkami stały butelki z żytnią , na ławkach szklanki, puste lub napełnione, kilku grało w karty. Zostaliśmy wepchnięci do samego końca, pod szoferkę. Karciarze przerwali grę, jeden z nich, chyba jakiś główny herszt zwrócił się do mnie: dawaj kurwa dowód !, gdy szukałem dowodu, dorzucił: modlić się wam zachciało, módl się teraz huju !, nic nie odpowiadałem, wyjąłem portfel ale nim zdążyłem wyjąć dowód herszt wyrwał mi go z ręki, przypomniałem sobie, że w jednej z

przegródek mam ulotkę i plakietkę Solidarności. Zrobiło mi się gorąco, pomyślałem, że jak je znajdzie to będę zatrzymany. Przeliczył pieniądze, których nie było dużo, wyjął dowód i oddał portfel. Dowód otworzył i kazał mi podać swoje dane, gdy okazało się, że mieszkam na Pradze Płn. roześmiał się i powiedział: to jesteśmy ziomkami bo ja też z Pragi. Zapytał: jesteś moim kolegą ? odpowiedziałem: nie i nigdy raczej nie będziemy. Zomowcy parsknęli śmiechem. Herszt uderzył mnie pięścią poniżej pasa a gdy się zgiąłem drugi rąbnął mnie w policzek, trochę się zachwiałem ale ustałem na nogach wiedząc, że gdy upadnę pod nogi pijanej hałastry, zostanę skopany. Herszt oddał mi dowód, kazał „spierdalać” i trzymać się od pl. Zwycięstwa z daleka. Gdy ruszyłem do wyjścia na plecy posypał się grad pałek, byłem w skórze więc uderzenia były głośne ale niezbyt bolesne, po przejściu tej „ścieżki zdrowia” wypadłem na bruk. Niedaleko budy stała grupka starszych ludzi, szybko do mnie podeszli, zaczęli wypytywać co i jak i wyrażać zomowcom. Po chwili w ten sam sposób wypadł z budy mój kolega, nie miał tyle szczęścia co ja i za kilka minut na jego plecach pojawiły się czerwono-sine pręgi. Kolegę oprócz pobicia upokorzyli wyśmiewając się, że jest „ciotą” gdyż jako punk miał ufarbowane włosy. Najdłużej trzymali nieznanego mężczyznę, dziecko stało przy budzie w asyście kobiet i płakało ale oprawcy nic sobie z tego nie robili. Kobiety krzychały aby puścić człowieka aż wreszcie wypadł z budy tak jak my. Trzymali go tak długo gdyż znaleźli przy nim znaczek Solidarności, kazali mu go poćknąć a gdy odmówił pobili pięściami i puścili jak nas przez ‘ścieżkę zdrowia”. Po tej historii poszliśmy do jednej z knajpek na Starówce gdzie w ramach odstresowania zamówiliśmy tzw. „herbatkę” czyli winiak w filiżance jako, że obowiązywała prohibicja. Ze względu na cenę tego trunku, tak podawanego upić się nie było można ale złagodzić wpływ tej strasznej agresji i chamstwa tak.

Godzina milicyjna. Na początku stanu wojennego, wracaliśmy z kolegą z jakiejś imprezy, było ok. godz. 24.00, nic nie jeździło gdyż była godzina milicyjna, szliśmy Trasą Łazienkowską. Przy domu studenckim Riwiera-Remont zaskoczył nas patrol złożony z ok. 20 zomowców. Stać ! ręce do góry ! Zrobili nam rewizję osobistą, zabrali dowody i poprowadzili pod lufami karabinów. Szliśmy ul. Marszałkowską, my dwaj na czele a za nami żandarmi z wycelowaną

w nas bronią, było to bardzo nieprzyjemne uczucie. To co dotychczas widziałem na filmach wojennych wtedy mogłem odczuć na własnej skórze. Tego, który celował we mnie zapytałem czy jak będę uciekał to mnie zastrzeli, z cynicznym uśmiechem odpowiedział: spróbuj. Na oko miał jakieś 18 lat. Wolałem go nie sprawdzać, ucieczki nie próbowałem. Doprowadzili nas do Wilczej, w środku kłębił się tłum zomowców i cywilów, wrzało jak w ulu. Ogarnęło mnie uczucie beznadziei, byliśmy zdani na łaskę tych ludzi a sądząc po rozmowach i sposobie zwracania się do siebie i aresztantów byli to ludzie wyjątkowo prymitywni. Nie bili nas, choć jeden z nich miał wyraźnie na to ochotę. Pozostali chyba wyżyli się już na innych. Odebrali nam sznurowadła, paski i wrzucili na dołek. W środku był tłum ludzi, było niesamowicie gorąco i duszno. Ludzie byli różni: trzech siedziało za zabójstwo, ciągle chodzili i byli nerwowi, kilku pijaczków siedziało lub chodziło a reszta to byli polityczni: za bibułę, nielegalne zebranie, ci byli całkiem inni, siedzieli spokojni, widać było, że psychicznie są silni, widać było, że siedzieli niesłusznie, że racja jest po ich stronie. Jeden z nas otrzymał straszne cięgi. Gdy słyhać było odgłosy bicia na korytarzu, facet nie wytrzymał zaczął krzyczeć: gestapowcy nie bijcie niewinnych ludzi, wszyscy mu wtórowaliśmy ale to jego jako prowodyra wyciągnęli na korytarz. Wpadło ich ze dwudziestu, z pałami i w kaskach, nawet się nie broniliśmy, złapali tego najodważniejszego za włosy i wyciągnęli z celi. Pałowali go i kopali a nas szybko ponownie zatrzasnęli. Z początku krzyczał ale później zawlekli go dalej i już nic nie słyszeliśmy. Noc przedrzemałem na siedząco a rano zawieźli nas na kolegium w Urzędzie Miejskim przy ul. Nowogrodzkiej, za złamanie godziny milicyjnej dostałem grzywnę

2.000 zł. z możliwością zamiany na pracę społeczną. Wybrałem pracę. W Urzędzie odpracowałem społecznie 20 godz. Układałem jakieś paczki z makulaturą w magazynie. Pracowałem jakieś 10 godz. a wyrozumiała urzędniczka wiedząc co przeskrobałem zaliczyła mi te zasądzone 20.

Kolejna wielka manifestacja szykowała się na 31 sierpnia 1982 r. Była to kolejna rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych, początek NSZZ „Solidarność”. Dostałem bardzo dużo

ulotek, które rozdawałem i podrzucałem gdzie tylko się dało. W Dyrekcji MPRO, w moim zakładzie (ZPR-1), w autobusach i tramwajach. Dodatkowo sam, prymitywnie wykonanym stemplem z kartofla, wydrukowałem kilkaset ulotek. Rozrzucałem je z samochodu w miejscach gdzie przewijało się dużo ludzi. Gdy służbową nyską przejeżdżałem obok gmachu Politechniki Warszawskiej na ul. Narbutta i zobaczyłem tłum wychodzących z zajęć studentów uchyliłem okno i sypnąłem ulotkami. Młodzież zaczęła je łapać, wtem w lusterku zobaczyłem wybiegających z bramy milicjantów. Przycisnąłem gaz, oni pobiegli kawałek za mną a później zaczęli zbierać rozrzucone ulotki. Miałem niezłego stracha, skręciłem w najbliższą uliczkę, później w następną i następną, kluczyłem, byłem pewny, że zapisali mój numer rejestracyjny i będą ścigali mnie radiowozami. Bałem się wrócić na zakład, spodziewałem, że już tam na mnie czekają. Okazało się, że strach był niepotrzebny, spokojnie wróciłem do zakładu pracy gdzie nikt na mnie nie czekał. Później, ja i wszyscy, którym opowiadałem to zdarzenie śmiało się z tego jak „głupia” ulotka wykonana kartoflem potrafiła wprowadzić taki „popłoch” w szeregach MO. Przed 31 sierpnia 1982 r. wszystkich znajomych namawiałem do pójścia na manifestację. Z pracy przekonałem dwie osoby, poszliśmy na miejsce zbiórki czyli Pl. Konstytucji. Było niebiesko od zomowców, nie pozwalali się gromadzić ani zatrzymywać. Spotkałem znajomych, w tym Panią Orłoś, która w tym czasie pracowała w MPRO a na manifestację przyszła z mężem Kazimierzem Orłosiem znanym pisarzem opozycyjnym, autorem m.in. „Cudownej meliny”. Zostaliśmy przedstawieni, zamieniliśmy kilka słów: „uda się, czy nie ?” i już otoczyli nas zomowcy – dokumenty ! Obejrzeliby dowody i kazali „uciekać” do domu. W tym czasie tłum zaczął klaskać, każda akcja legitymowania przechodniów wywoływała oklaski. W międzyczasie nadjeżdżały kolejne „budy” z których wysypywali się zomowcy. Powoli spychali ludzi w ulice Marszałkowską, aż wreszcie zaczęło się: Solidarność !, Lech Wałęsa !, Zbyszek Bujak ! Pochód ruszył w kierunku centrum, w ciągu kilkunastu sekund okazało się, że jest nas kilkanaście tysięcy. Pojawiły się transparenty i flagi: „wrona skona a orła nie pokona”, „chcemy Lecha nie Wojciecha”. Na czele młodzież, w środku i starsi i młodszy. Znaleźliśmy się w czołówce. Zastanawiałem się

kiedy nas zaatakują. Wypadli z ul. Hożej i z przodu od ronda przy Rotundzie, armatki wodne, gaz łzawiący. Idąc w drugim czy trzecim szeregu widziałem dokładnie całą szarżę zomowców. Rzucili się na nas ze straszną furią, tłukli jak popadnie ale szczególnie zajadle tych z transparentami i flagami. Wraz z kilkudziesięcioma osobami schroniłem się do kawiarni. Niestety nie wszyscy zdołali uciec, zomowcy dopadli nastoletnią dziewczynę, bez litości, leżącą okładali pałkami, kopali a później zawlekli do budy. Widok był straszny ale najgorsze było to, że byliśmy bezradni nie mogliśmy jej pomóc. Zomowcy próbowali wtargnąć do kafejki, dopadli do drzwi i zaczęli je szarpać ale na szczęście przezorne kelnerki zamknęły je na klucz. Widząc, że bez wybijania szyb nie wejdą do środka zomowcy zrezygnowali i pognali za innymi ludźmi. Po kilkudziesięciu minutach gdy zomowców nie było już widać wyszliśmy na ulicę. Na chodniku i jezdni leżały kije od flag i strzępy transparentów. W oddali słychać było strzały. Przyłączyłem się do grupy skandującej: „gestapo !” Za chwilę nadjechała kolumna nysek, z której ostrzelano nas gazami łzawiącymi, puścili się za nami w pogoń. Uciekaliśmy ulicą Wspólną, petardy, którymi do nas strzelali wybuchały z taką siłą, że ciarki przechodziły po plecach a w uszach dzwoniło przez kilka minut. Z oczu lały się łzy. W bramach stały przeważnie starsze kobiety z kwasem borowym w słoikach i watą. W pewnym momencie po kolejnym wybuchu petardy przestałem cokolwiek widzieć, ktoś wciągnął mnie do bramy i po chwili czyjeś ręce położyły mi na oczy kojący opatrunek z waty. Ktoś inny radził aby broń boże nie trzeć oczu. Kwas borowy robił swoje, oczy przestały łzawić, watę oddałem starszej pani, która zamoczyła ją w płynie i przyłożyła następnemu poszkodowanemu. W bramie trwały ożywione dyskusje, starsi ludzie opowiadali o Powstaniu Warszawskim 1944 r. porównywali obecną sytuację do tej z II wojny światowej. Zomowcy powoli opanowywali całe Śródmieście, ludzie pochowani po bramach a po pustych ulicach jeździły patrole skotów, gazików, bud i polewaczek. Strzelali gazem do każdego nieostrożnego przechodnia. Trzeba było się przeprawiać starą powstańczą taktyką od bramy do bramy. W bramie na Wilczej spotkałem kolegę z pracy, z ukrycia obserwował komendę milicji do której ciągle dowozili nowych aresztantów. Postanowiliśmy razem przedrzeć się

gdzieś do tramwaju lub autobusu. Ruszyliśmy Marszałkowską w kierunku centrum, było pusto, gdy zbliżał się patrol uciekaliśmy do najbliższej bramy, gdy kolumna przejechała ruszaliśmy dalej, tak doszliśmy do Świętokrzyskiej, robiło się ciemno. Całkiem niespodziewanie trafiliśmy na grupę manifestantów, razem z nimi ruszyliśmy ul. Grzybowską. Tłum urósł momentalnie do kilku tysięcy, końca pochodu nie było widać. Znowu pojawiły się flagi i transparenty. Śpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, Rotę, skandowaliśmy: Solidarność ! Z okien ludzie machali nam chusteczkami. Na całym osiedlu Za Żelazną Bramą w oknach migają światła. Znowu atmosfera była niezwykle wzniosła i budująca, łączyła radości cisnęły się do oczu, było nas tak wielu. Po pewnym czasie przeleciał nad nami helikopter, za chwilę znowu, można było spodziewać się ataku. I rzeczywiście zaatakowali nas na Marchlewskiego (obecnie Jana Pawła II), z kilku stron. Rozpierzchliliśmy się w różne strony, razem z kolegą znaleźliśmy się na rondzie Marchlewskiego-Świętokrzyska. Tam próbowaliśmy utworzyć barykadę, szykowaliśmy się do odparcia ataku gromadząc kamienie i kawałki płyt chodnikowych. Pierwszy zaatakował nas skot, kamienie głucho waliły w jego blachę a on niszczył wszystko na swojej drodze, trzeba było uciekać. Za skotem tyralierą szli zomowcy, gdy rzucili się na nas okazało się, że inny oddział odciął na m tyły, nie było gdzie uciekać, ktoś krzyknął: nie cofać się-do przodu ! Nie mieliśmy wyjścia, każdy złapał tyle kamieni ile mógł unieść i z okrzykiem hurra ! rzuciliśmy się na szarżujących zomowców. Strzelali do nas gazem, jednak nie zatrzymaliśmy się, gdy byliśmy już blisko na zomowców posypały się kamienie. Grad kamieni uderzających w zomowskie tarcze dawał niezwykły efekt dźwiękowy. Zomowcy rzucili się do ucieczki, po raz pierwszy widziałem coś takiego, oni tak uzbrojeni i opancerzeni uciekali przed nami i naszymi kamieniami. Gdy dobiegli do kolumny utworzonej z bud, słyszałem jak ich dowódca wrzeszczał: stać ! formować szereg ! w rękę trzymał rewolwer. Mimo wszystko zomowcy próbowali chować się do bud jednak krzyk dowódcy zadziałał, utworzyli szereg mając za plecami tyralierę z wozów milicyjnych, wycelowali w nas i oddali salwę, petardami z gazem. Petardy śmigały nam koło głów. Zrobiło się ciemno, nic nie widziałem, ktoś prowadził mnie pod rękę, znalazłem się w bramie razem z moim kolegą,

który mnie uratował, na skrzyżowaniu zostało wielu naszych. W bramie był tłum ludzi, były słoiki z kwasem borowym, znowu miałem opatrunek na oczach. Po kilku minutach doszedłem do siebie. Byliśmy w bramie starego domu na rogu Marchlewskiego i Świętokrzyskiej. Starzy warszawiacy klęli na czym świat stoi na tych bandytów, gestapowców, komunistów. Liczyliśmy się z atakiem zomowców na bramę, mieszkańcy kamienicy trzymali otwarte drzwi do mieszkań aby w razie ataku schronić się do nich. Zomowcy bali się jednak wejść do bramy. Część młodych nie miała jeszcze dosyć zbierali kamienie i atakowali przejeżdżające radiowozy. Nawet udało im się zniszczyć dużego fiata milicyjnego, który nieostrożnie stanął w bocznej uliczce. My z kolegą mieliśmy już dosyć, była

21.00 i czekała nas podróż do domu na piechotę gdyż cały ruch uliczny był sparaliżowany. Szliśmy w kierunku Al. Jerozolimskich gdy zobaczyliśmy grupkę ludzi uciekających przed radiowozem, wpadli w boczną uliczkę a radiowóz popędził za nimi jednak okazało się, że w bramach było jeszcze wielu naszych, odcięli milicjantom drogę, na nyskę posypał się grad kamieni, suka zahamowała i ruszyła do tyłu, ścięła słupek przystanku autobusowego i mimo braku szyb udało się jej uciec. Gdyby samochód lub kierowca zawiedli doszłoby do linczu. Po drodze widzieliśmy jeszcze doszczętnie zniszczonego UAZ-a a przy Dworcu Centralnym rzucili się za nami zomowcy i znowu musieliśmy uciekać, nas było dwóch a ich dziesięciu, udało się ale byliśmy już wyczerpani. W domu byłem ok. 24.00, rodzice niezmiernie się ucieszyli na mój widok. Na drugi dzień podziemiami przy Rotundzie nadal nie można było chodzić, stała tam zawisina gazów łzawiących. 31.08.1982 r. w Lubiniu zginęli ludzie w Warszawie byli ranni i masa aresztowanych. Po kilku miesiącach od tych wydarzeń, z pieniędzy składkowych wysłaliśmy pomoc na adres rodziny jednego z zabitych demonstrantów w Lubiniu. Po tych wydarzeniach o Polsce było na świecie znów głośno jednak innych efektów nie było komuna była mocna. Powoli docierało do mnie, że na ulicy z komuną się nie wygra, że nie wygra się jedną nawet spektakularną akcją, że walka będzie długa i że trzeba „robić swoje”.

Co dalej ? Po manifestacjach 31 sierpnia 1982 r. , znowu pozostał niedosyt, znowu niewiele



to dało oprócz rozgłosu na cały świat. Co prawda cieszyło to, że o Polsce znowu było głośno ale po raz kolejny potwierdziło się, że na ulicach z komuną się nie wygra. Zorganizowanie jakiejś akcji strajkowej w zakładzie pracy, przynajmniej moim, było nierealne. Ludzie coraz bardziej obojętnieli, chcieli tylko spokoju. Miało to odzwierciedlenie nawet w życzeniach świątecznych, począwszy od świąt Bożego Narodzenia 1981 r. wszyscy życzyli sobie spokojnych świąt. Mnie to irytowało, ten spokój za wszelką cenę, to oznaczało grzęźnięcie coraz bardziej w tym komunistycznym bagnie, w obłudzie i zakłamaniu. Ja życzyłem sobie i innym świąt z nadzieją, z odróżnianiem dobra od zła, świąt ponownego przebudzenia Polaków. Spokój oznaczał niemoc, rezygnację, godzenie się na to wszystko co się wokół działo. Godzenie się na to lub ucieczka na Zachód, tak niestety robiło coraz więcej młodych ludzi, coraz więcej moich znajomych.

Na listopada, w wiele dni po delegalizacji „Solidarności” przez reżim, podziemie wezwało do strajku generalnego, niestety było to całkowite rozminięcie się z nastrojami ludzi w zakładach pracy. Strajki były sporadyczne i nieskuteczne.

Na 10 listopada 1982 r. w rocznicę rejestracji „Solidarności” zwołano manifestację pod sądami na ul. Świerczewskiego. Z MPRO poszło ze mną kilka osób. Scenariusz był standardowy, zomo dało sygnał do rozpoczęcia. Początkowo ludzie spacerowali, stali w kolejce po bagietki, czekali na tramwaj czy autobus i dopiero gdy zomo zaczęło nas zaczepiać a po chwili przeganiać z tego rejonu, z konieczności zbiliśmy się w jedną masę i okazało się, że jest nas dużo. Zaczęliśmy skandować, tradycyjnie: „Solidarność” !, Lech Wałęsa ! Zomowcy zaczęli pałować, młodzież chwyciła za kamienie, których było pod dostatkiem na torowisku tramwajowym. Wywiązała się ostra bitwa. Okazało się, że zomców jest całe morze, musieliśmy się wycofać w kierunku Placu Teatralnego. W jednej z bocznych uliczek zaskoczyły nas radiowozy. Z jednego z nich, przez właz w dachu wyglądał zomowiec z karabinem załadowanym petardą z gazem. Razem z kolegą uciekaliśmy ulicą, niestety po drodze nie było żadnej bramy tylko po obu stronach mur. Suka dogoniła nas szybko, odskoczyłem w bok i kucnąłem zakrywając głowę rękoma. Radiowóz był tak rozpędzony, że

przejechał obok mnie bez wystrzału, niestety przy koledze wyhamowali. Wiesiek zrobił to samo co ja, stanął i zakrył głowę rękoma, zomowiec z dachu z premedytacją wycelował i strzelił. Pocisk z gazem musnął kolegi głowę i uderzając w mur rozprysnął się w drobny mak. Wiesiek zniknął w tumanach dymu. Krzyknąłem: uciekaj w moją stronę !. Razem wybiegliśmy z tego kotła, z rany na czubku głowy sączyła mu się krew ale i tak miał dużo szczęścia. Była to jego pierwsza i zdaje się ostatnia manifestacja.

Następnego dnia 11 listopada 1982 r. w Święto Niepodległości kilka osób w naszym zakładzie pracy odważyło się przypiąć do kłapy ubrania biało-czerwone kokardki. Wieczorem z tej okazji odbyła się Msza Św. w Katedrze Św. Jana na Starym Mieście. Po mszy uczestnicy uroczystości zostali spałowani przez zomo w okolicy Starego Miasta i Pl. Dzierżyńskiego (obecnie Bankowy).

CDN

